

Lucy Ribchester

SUFRAŻYSTKI

ZNAKOMITY KRYMINAŁ HISTORYCZNY



ROZDZIAŁ PIERWSZY

1 listopada 1912

Słońce mocno przygrzewało, gdy Frankie George jechała na rowerze Fleet Street, próbując nie dopuścić, aby jej notatnik i wizytówki wyfrunęły z dolnych kieszeni, a ołówki wbiły się jej w pierś.

Nie ufała ciepłej pogodzie, kiedy wstała w południe, żeby odebrać telegram od redaktora, który wzywał ją do biura przy Stonecutter Street. Teraz, kiedy omijała chłopców na motocyklach, które dmuchały fioletowym dymem, sterty końskiego łajna oraz parujące konie ciągnące omnibusy, żałowała, że tak się ubrała. Miała na sobie twarzowy tweedowy kostium w jasnobrązowych jesiennych barwach, doskonały do jazdy na rowerze, szczelny jak tapicerka. Na Fleet Street unosiły się odurzające opary, więc miała wrażenie, że brnie przez gorącą zupę. Zbliżył się do niej rozkołyszany wóz pełen placków z mięsem i przez chwilę miała ochotę sięgnąć po jeden z nich, ale zmieniła zdanie, widząc, że koń ciągnący następny wóz na nie dyszy. Skrzyła w Shoe Lane, omijając rozbite dyniowe latarenki pozostałe po poprzednim wieczorze, gdy świętowano Halloween, i dopiero wtedy przypomniała sobie, że jest dzień Wszystkich Świętych. A z nieba leje się żar. Co dalej? Atak lata w dzień Guya Fawkesa?

Przy Stonecutter Street znajdowały się głównie redakcje czasopism, które korzystały z niższego czynszu. W przypadku „London Evening Gazette” oznaczało to gnieźdzenie się w strzelistej kamienicy, sześciokrotnie wyższej niż szerszej, przez co na każdym piętrze mieściło się tylko jedno pomieszczenie. Cegły były w kiepskim stanie, a w ścianach co rusz pojawiały się nowe przecieki i pęknięcia. Wciąż strategicznie rozstawiano kolejne wiadra i wtykano pęczki wyściółki w świszczące szczeliny. Frankie oparła rower o płot przed budynkiem, skąd ostatnio go pożyczyła, i wbiegła po schodach.

W redakcji jak zwykle panował histeryczny szum. Rozcinano pliki świeżo wydrukowanych gazet, mężczyźni ubrani w koszule i spodnie na szelkach biegali po schodach, nosząc kawałki papieru cienkie jak chusteczki. Z każdego piętra dobiegały donośne okrzyki „kopia”, a wraz z nimi woń tureckiego tytoniu i od czasu do czasu odgłosy trzepnięcia kogoś z chłopców w ucho.

Frankie wyłowiła telegram z kieszeni i wręczyła go mężczyźnie w recepcji.

– Wiesz, czego chce? – Mężczyzna przyłożył dłoń do ucha, żeby usłyszeć jej odpowiedź wśród panującego gwaru.

Frankie zerknęła na liścik. „STONECUTTER STREET STARK”. Wzruszyła ramionami. Mężczyzna odpowiedział tym samym gestem, po czym dłonią wskazał jej schody.

Im wyżej w budynku, tym ważniejszy lokator. W piwnicach stały prasy drukarskie obsługiwane przez mężczyzn w fartuchach, którzy tak ogłuchli od hałasu maszyn, że wrzeszczeli do siebie nawet wtedy, gdy siedzieli przy tym samym stole w Olde Cheshire Cheese. Wciąż pod ziemią, ale jeden poziom wyżej wyszkoleni ludzie o zwinnych palcach pianistów siedzieli przy linotypach, ustawiając litery w równych rzędkach.

Parter należał do dziennikarzy sportowych i pracowników etatowych, których można było natychmiast posłać do dowolnego miejsca w Londynie, żeby podstępem zdobyli informacje na posterunku policji, w kostnicy, sądzie rozwodowym lub u gadatliwych właścielek

pubów bądź mściwych służących. Pisarze nekrologów, korespondenci polityczni oraz redaktorzy dłuższych artykułów zajmowali biuro położone na pierwszym piętrze; mieli do dyspozycji czerwoną aksamitną kanapę, z której wzbijały się kłęby kurzu, gdy tylko ktoś na niej usiadł. Jeszcze wyżej korektorzy pracowali przy biurkach pełnych niebieskich ołówków, butelek z klejem i nożyczek, tnąc i układając teksty otrzymane przez pomocników biurowych. A na samym szczycie zasiadał sam pan Stark, redaktor naczelny, w gabinecie ze skrzypiącą drewnianą podłogą i potężnym dębowym biurkiem pokrytym konkurencyjnymi gazetami oraz skrawkami kalki, którym towarzyszyła szklaneczka whisky z trwałą skamieliną osadu po poprzednich drinkach.

Stark miał także honor goszczenia u siebie telegrafu Reutersa, czterech filarów zwieńczonych oszkloną skrzynką z płataniną elektromagnetycznych kabli, które przy wtórze tykania i stukania wypluwały miłą wiadomości dziennie. Wyniki konnych gonitw, przemowy parlamentarzystów, wydarzenia zagraniczne, wieści spedycyjne – wszystko to wylewało się na cienki pasek papieru, który Nobby, pomocnik Starka, przycinał nożycami i przekazywał Starkowi do przeczytania. Większość wiadomości kończyła pod biurkiem w koszu na makulaturę. Podczas pierwszej wizyty w gabinecie Starka Frankie ostrożnie przyjrzała się koszu, zastanawiając się, jak wiele wychuchanych i ręcznie zaadresowanych dziennikarskich wiadomości zostało zwiniętych w kulkę i wyrzuconych niczym stare skórki pomarańczy.

Tuż przed dotarciem na półpiętro w drodze do gabinetu Starka usłyszała czyjeś wołanie.

– Hej, Georgie.

– Mam na imię Frankie – zaczęła, odwracając się. Od razu rozpoznała Teddy’ego Hawkinsa, jednego z dziennikarzy, którzy mieli swoje biurko w pokoju redakcji informacyjnej na dole. Miał wykrzywione usta, które wyglądały, jakby kiedyś zostały zmiażdżone i nigdy nie odzyskały pierwotnego kształtu. Niósł stertę wycinków z gazet.

– Dostałaś od nas telegram?

– Od pana Starka.

Hawkins zbył tę uwagę.

– Chce, żebyś opisała czyjąś sylwetkę. Tekst na pół, a nie trzy czwarte strony. – Wyszczrzył się.

Frankie szybciej zabiło serce.

– Jutro wieczorem w Coliseum występuje pewna sufrażetka, akrobatka. Ebony Diamond. Znasz ją?

Dreszcz podekscytowania natychmiast ustąpił miejsca rozdrażnieniu. Już miała powiedzieć: „A niby dlaczego miałabym ją znać?”, ale Hawkins nie dał jej okazji.

– Nikt z nas nie ma pojęcia, co to za jedna. Dlatego szef chce, żebyś się tym zajęła. – Zerknął na jej kostium. – Wiesz co nieco o sufrażetkach, prawda? Tak czy inaczej, masz czas do jutra. On powie ci resztę. – Wparował przed nią do gabinetu Starka, pozostawiając za sobą smród starego dymu.

Frankie usłyszała szmer pośpiesznej rozmowy, a po chwili Hawkins wyszedł, mrugnął do dziewczyny – przez co poczuła się lekko zbrukana – i zbiegł po schodach. Zanim zniknął, z zadowoleniem zauważyła, że przy bucie powiewa mu długa taśma z telegrafu.

Szybko otrzepała kostium i weszła do gabinetu. Stark pochylał potężne ciało nad korektą i przyglądał się jej przez monokl tkwiący w oczodole. Za ucho zatknął niebieski ołówek. Miał owalną figurę zwężającą się ku górze jak jajko i niezwykle wyraziste rysy: uszy, nos, niebieskie wyłupiaste oczy, które wyglądały jak przytwierdzone redaktorskim klejem, a w parze z niecodziennym wyglądem szedł niezdarny sposób wystawiania się. Stark lubił nazywać swoje dziennikarki „cukiereczkami” albo „ciasteczkami”.

Nie podniósł wzroku. Frankie podeszła bliżej, tak że jej buty znalazły się w jego polu widzenia.

– Ebony Diamond – powiedział, wciąż wbijając wzrok w długi tekst. – Zna ją pani?

Frankie pokręciła głową, ale po chwili zrozumiała, że powinna odpowiedzieć.

– Nie. – Odchrząknęła.

– Jest sufrażetką.

– Nie znam jej – powtórzyła Frankie, starając się, żeby jej głos zabrzmiał pewnie.

– Więc chciałbym, żeby ją pani poznała. Już dwukrotnie siedziała w Holloway, więc nie musi się pani z nią cackać. Niech ją pani spyta o dozorcynie i przymusowe karmienie.

Czekała na dalsze instrukcje, patrząc, jak jego głowa przesuwa się tam i z powrotem wzdłuż linii tekstu.

– Jeszcze tu pani jest?

– Chodzi o to... panie Stark. Nie jestem pewna, czy tekst o sufrażetkach, zważywszy na moje doświadczenia... To znaczy przychodzi mi do głowy wiele innych tematów, które...

– Albo to, albo relacja z rzucania kólkami w Wimbledon Common. Chce pani relacjonować rzucanie kólkami?

Frankie w myślach szybko obliczyła odległość dzielącą ją od Wimbledonu. Prawie się opłacało.

– Nie, panie redaktorze, dziękuję.

– Nobby ma dla pani trochę notatek, prawda Nobby?

Pomocnik Starka, który stał w kącie, wpatrując się w tykający telegraf, nachylił się nad stołem i podał jej kawałek papieru. Na górze widniały nazwisko i adres zapisane przez Starka ozdobnym charakterem pisma za pomocą niebieskiego woskowego ołówka. „Olivier Smythe, gorsety, New Bond Street 125”. Poniżej Nobby nabazgrał swoje notatki.

Frankie zmarszczyła czoło.

– Przepraszam, nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. To adres sklepu z gorsetami przy Bond Street.

– Tak.

Frankie się zawahała.

– On jej szyje kostiumy – rzekł Stark, jakby to wszystko było oczywiste. Potem wrócił do studiowania korekty, a Nobby wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę telegrafu. Frankie westchnęła, złożyła kartkę i schowała ją do kieszeni, po czym wyszła na korytarz.

Była w połowie wysokości schodów, kiedy jakiś mężczyzna w brązowym robotniczym stroju wypadł z jednego z bocznych pokoi.

– Chwileczkę, chwileczkę. – Zatrzymał ją, rzucając w jej stronę skórzane pudełko. Jego poplamione tuszem palce cuchnęły chemikaliami. – Postaraj się o dobre ujęcie. Z bliska, od pasa w górę. Nie zapomnij o talii. Niech nie zamyka oczu. Płytki już włożyłem, ćwiartki. – Wskazał połówkę trójkątnej rurki wetkniętą z tyłu urządzenia. – Jeśli ją zgubisz, przerobię twoje palce na konserwę. Proszek w razie potrzeby możesz kupić w aptece. Najlepiej marki Muller's.

Dopiero wtedy ją olśniło, czym jest ta skrzynka ze skóry.

– Już kiedyś robiłam zdjęcia – odparła. To nie była prawda, ale ktoś kiedyś ją sfotografował, a to prawie to samo. Ostrożnie wyjęła aparat z pudełka i uważnie mu się przyjrzała. Miał sztywną czerwoną harmonijkę i lśniące mosiężne okucia. Na żółtym szklistym okręgu widniał napis „J. Lizars Challenge. Glasgow, Londyn, Edynburg”.

Schowała aparat do pudełka i założyła na ramię skórzany pasek, a następnie wyszła z budynku, wystawiając twarz na światło słońca. Usiłowała pozbyć się słabego mrowienia, który poczuła przed gabinetem Starka, kiedy Teddy Hawkins powiedział jej, dlaczego otrzymała to zlecenie. Oczywiście Teddy Hawkins nigdy nie przeprowadzał wywiadów z sufrażetkami; wolał napełniać kufle policjantom i dawać w łapę politykom w Savage Club.

Sufrażetka. Już ona mu pokaże sufrażetkę. Wystarczy rzut oka na jej spodnie i wszyscy od razu zakładają, że jest cholerną sufrażetką. Zresztą to nawet nie jest prawdziwe słowo, tylko nazwa, którą wymyślił ktoś w „Daily Mail”, żeby odróżnić tłukące młotkami podopieczne pani Pankhurst od popijających herbatkę podopiecznych pani Fawcett. Sufrażystki i sufrażetki oraz kilka innych odłamów, a wszystkie wyglądały identycznie w swoich bluzkach, kostiumach szytych na miarę i kapeluszach ozdobionych wypchanymi zwierzętami, gdy wciskały ludziom broszurki na rogach ulic.

A teraz Frankie miała po prostu ruszyć tanecznym krokiem do sklepu z gorsetami w poszukiwaniu sufrażetki akrobatki, której ni-

gdy nie widziała. To był dla nich wszystkich świetny dowcip. Wyobrażała ich sobie z natłuszczonymi włosami, spowitych wonią tureckiego tytoniu, jak zbierają się w pokoju redakcji i rechoczą jak małpy do swoich filiżanek z kawą.

Przełknęła ślinę i uniosła podbródek. To tylko praca, dodatkowa praca. Zresztą wywiad to awans w porównaniu z jej stałą rubryką, którą współtworzyła z Iskierką, oraz okazjonalnymi rysunkami satyrycznymi. Poza tym według *Jurnalism for Women* [Dziennikarstwa dla kobiet] Audrey Woodford nigdy nie należy odmawiać pracy. Przechesała palcami kępkowate brązowe włosy, wsuwając je za uszy, poprawiła futerał z aparatem na ramieniu i ruszyła w stronę ogrodu. Kiedy do niego dotarła, zdążyła zobaczyć, jak sprzedawca gazet, wciąż wciśnięty między deski tablicy reklamowej, wskakuje na rower i chwiejnie odjeżdża ulicą.

– Hej!

Chłopak przyśpieszył, uderzając kolanami o tablicę. Frankie westchnęła i wyjęła spod żakietu stary zegarek kieszonkowy dziadka. Był już kwadrans po trzeciej. Od Bond Street dzieliło ją wiele mil, a centrum miasta było zapchane. Jeśli pojedzie metrem, być może zdąży.

W metrze panował tłok, ale dało się go wytrzymać, a Frankie znalazła nieco miejsca pod trzęsącą się ścianą. Kiedy pociąg mknął po grążonymi w mroku tunelami, okna zmieniały się w lustra, dzięki czemu po raz pierwszy tego dnia mogła zobaczyć, jak wygląda, gdyż zazwyczaj nie zwracała sobie tym głowy przed wyjściem z domu. Wzorzysta wełniana chustka przekrzywiła się jej na szyi, a skóra wokół brązowych oczu lśniła. Oliwa z oliwek, którą matka dała jej do gotowania, skutecznie pozwalała zapanować nad fryzurą. Nosiła krótkie włosy od pierwszego dnia pracy jako asystentka zecera w „Tottenham Evening News”, gdy jej szef bez ostrzeżenia obciął jej kucyki nożycami. Czy jej policzki wyglądały pulchniej niż zwykle? Zawsze chlubiła się smukłą sylwetką, ale ostatnio miała wrażenie,

że jej pasek u spodni stał się ciaśniejszy. Zbyt wiele spotkań przy gnie ze starą Iskierką podczas pracy nad cotygodniową rubryką i zbyt dużo piwa w Cheshire Cheese.

Oparła się o okno, zastanawiając się, jak długo będzie szukać sklepu i czy w ogóle zostanie tam sufrażetkę. Gdyby udało jej się dobrze wypaść, pan Stark mógłby jej zlecić kolejne wywiady. To prawda, od wielu tygodni nękała go, żeby przydzielił jej jakieś pikantniejsze zlecenie. W „Tottenham Evening News” zdarzało jej się zastępować chorych etatowych dziennikarzy i chodzić na rozprawy sądowe albo do kostnicy. Jednak najwyraźniej przy Fleet Street kobiety posyłało tylko na otwarcia zakładów krawieckich, bale, podczas których wprowadzano młode panny do towarzystwa, lub po sensacyjne plotki prosto z magła.

Kiedy windziarz na stacji przy Bond Street wydzwignął ją na powierzchnię, słońce już zaczęło się obniżać. Niebo pociemniało, ustępując miejsca mgłę herbacianego koloru nawiewanej znad Tamizy.

Frankie poprawiła klapy kostiumu, po raz pierwszy tego dnia ciesząc się ze swojego tweedowego stroju. Przy skrzyżowaniu z Oxford Street stało kilka tramwajów, a dalej na New Bond Street czekały kryte jednokonne powozy. Lampy gazowe i elektryczne świeciły wewnątrz sklepów, otaczając towary na wystawach lśniąщими całunami srebra i złota. Klienci kłębili się na chodnikach, śpiesząc się, aby dokończyć zakupy przed zmianą pogody.

Zerknęła na zegarek kieszonkowy – za kwadrans czwarta, jeszcze wcześniej – a następnie wyjęła grubego papierosa Matinee oraz pudełko zapalek z papierośnicy, którą trzymała pod żakietem. Najpierw chciała się wprowadzić w odpowiedni nastrój. Zapaliła papierosa i zdeptała zapalną.

Powoli zaciągając się dymem, przeszła pomiędzy rzędem dorożek i sklepowych witryn. Była w połowie drogi od wysokiej dwukółki do trafiki, gdy jej wzrok przyciągnął jakiś kształt w oknie kolejnej dorożki. Podeszła i zajrzała do środka. Początkowo miała wrażenie, że to rozczłonkowane ciało skurczone do oszałamiająco małych

proporcji, ułożone na ławeczce wewnątrz kabiny. Zamrugła i po chwili zrozumiała, na co patrzy, a wtedy się odwróciła. Za nią, na zakrzywionej witrynie sklepowej, podświetlony złotymi lampami gazowymi wisiał bladofioletowy jedwabny gorset. Kiedy się do niego zbliżyła, dziwaczne kopie tego kształtu zaczęły się pojawiać w mlecznym świetle wypełniającym wystawę – zwisały z sufitu, opinały drewniane sylwetki. Podniosła wzrok na szyld. „Olivier Smythe. Paryskie gorsety”. Poniżej znajdowała się złoto-czarna lakierowana płaskorzeźba przedstawiająca herb królewski.

A więc to tutaj panna Ebony Diamond zaopatruje się w bieliznę. Frankie nie wiedziała, że w wodewilach tak dobrze płacą. Odetchnęła z ulgą, że nie kazali jej szukać wiatru w polu, i zajrzała przez okno. Przy ladzie stali mężczyzna oraz wysoka, żywo gestykulująca starsza pani w pastelowym kapeluszu z kwiatami.

Jak dziennikarze zabierają się do takich spraw? Audrey Woodford przezornie zapomniała o tym wspomnieć. Frankie po raz ostatni zaciągnęła się gorzkim papierosem, po czym wyciągnęła swój notes i zerknęła na plik notatek, które dał jej pomocnik Starka. „Akrobatka, sufrażetka, treserka tygrysów. W kwietniu zaatakowała Asquitha. Pracuje w Jojo’s Cocoa Bar w Soho. W piątek występuje w Coliseum. Nie zadzierałbym z nią”. Ostatnie zdanie podkreślono na niebiesko. Frankie uniosła brew.

Klientka uśmiechnęła się i przyjęła zapakowany zakup, a potem wypłynęła z powrotem na ulicę, dzwoniąc sklepowym dzwonkiem i poprawiając futro pod szyją. Frankie patrzyła, jak mężczyzna, którego uznała za pana Smythe’a, wygładza ubrania na wystawie. Było w nim coś dziwnego, czego nie potrafiła wskazać, jakaś delikatność działania. Zapięła żakiet, starając się wyglądać jak najbardziej elegancko, żałując, że jej koszula nigdy nie daje się równo wpuścić za pasek. Kiedy podeszła do drzwi sklepu, chłopiec w dużej czapce naciągniętej na ogniście rudą czuprynę wyłonił się z cienia i je otworzył. Frankie zaczęła grzebać w kieszeni, szukając pensa dla niego, ale znalazła jedynie cholernego szylinga, którego chciała

zachować na opłatę za przejazd metrem, więc wyjęła pustą dłoń i tylko się uśmiechnęła.

Brzęk dzwonka wywołał w niej nerwowość. Weszła do mrocznego, wyłożonego panelami pomieszczenia, w którym unosił się słodki zapach, i spokojnie zaczęła przeglądać wieszaki z tkaninami, jakby kupowanie gorsetu było najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Prawdę mówiąc, przyprawiało ją to o lekkie mdłości: miękka satyna i szorstka koronka. To miejsce przypominało połączenie podupadłego sklepu rzeźnika z niesamowitym salonem fryzjerskim, niczym wspólne przedsięwzięcie panny Havisham i Sweeneya Todda. Akurat trzymała w dłoniach kremowo-karmelowy łaszek – takie połączenie kolorów kojarzyło jej się z kaftanami bezpieczeństwa – kiedy za sobą usłyszała kroki.

– Czym mogę służyć?

Frankie odwróciła się i wtedy zrozumiała, co było tak dziwaczne w tym człowieku. Był ściśnięty gorsetem do makabrycznych rozmiarów trzydziestu pięciu, czterdziestu centymetrów. Usiłowała nie patrzeć na jego ciało, skupiając się na twarzy. Miał wyraziste policzki, jakby skrojone krawieckimi nożycami, a w dużych okrągłych brązowych oczach kryła się ciekawość.

Odchrząknęła. Czy wypada od razu zapytać o Ebony Diamond? Zawahała się.

– Chciałabym kupić gorset.

Pan Smythe nie potrafił ukryć rozbawienia, kiedy powiódł wzrokiem po jej kostiumie ze spodniami.

– Naprawdę?

– Tak, muszę się wybrać na ślub. W sobotę – dodała obcesowo, podejrzewając, że właśnie tak się zachowują klientki kupujące gorsety. Właśnie obmyślała potworną sukienkę, w rodzaju tych, na które namawiała ją matka, gdyby Frankie rzeczywiście musiała iść na ślub, gdy nagle zauważyła jakiś cień, który pojawił się na bocznej ścianie sklepu. Smythe najwyraźniej też go dostrzegł, ponieważ stanął przed Frankie, starając się przesłonić jej widok, i zaczął głośno

rozprawiać o wyjątkowej pogodzie oraz o tym, czy wolałby brać ślub jesienią, czy raczej wiosną. Jednak dziewczyna już zauważyła niezwykłą sylwetkę. Nagle dotarło do niej, co fotograf z „Gazette” miał na myśli, kiedy mówił „Nie zapomnij o talii”.

To była Ebony Diamond. Na pewno. Niczym postać żywcem wyjęta z powieści wiktoriańskiej, wyłoniła się zza zasłony w głębi sklepu. Otaczała ją czarna staroświecka suknia, która sięgała aż do szyi, a poniżej opadała plisami i licznymi warstwami, sunąc tuż nad ziemią w ślad za pośpiesznie idącą właścicielką. Jednak to talia kobiety przyciągnęła uwagę Frankie. Ebony była opięta gorsetem równie ciasno jak sprzedawca. Frankie zrobiło się niedobrze, kiedy wyobraziła sobie ściśnięte jedzenie i wnętrzności. Nosila usztywnienie zaledwie przez tydzień, kiedy miała trzynaście lat – zakonnice nazywały to „usztywnieniem”, „gorsety” były przeznaczone dla Marii Magdalen tego świata – ale bicie różgą za odmowę jego zakładania było pestką w porównaniu z bólem, który powodowało jego noszenie, więc dała sobie spokój.

Kobieta w malutkich czarnych rękawiczkach trzymała dłonie przed sobą, żeby zachować równowagę, gdy wbiegła do sklepu, wpadając na wieszaki ze starannie rozwieszonymi gorsetami, przewracając je i potykając się o swoją suknię. Przemknęła obok Frankie, pozostawiając przyjemny słodki zapach *poudre d'amour* i ginu. Nagle jej kostka zaplątała się w wężowe paski jednego ze zrzuconych gorsetów i kobieta zatrzymała się, żeby odetchnąć.

Smythe poczerwieniał na twarzy i bez przekonania spróbował pokierować Frankie w stronę przymierzalni, ale zrećźnie mu się wymknęła.

– Przepraszam – wymamrotał, mijając dziewczynę i po drodze podnosząc kilka ubrań. – Ebony – syknął, a Frankie zdziwiła się, że nazwał kobietę po imieniu. – Co w ciebie wstąpiło? Trzęsiesz się jak zbity pies.

Kobieta w czarnej sukni obróciła się w jego stronę.

– Ona jest na górze, prawda?

– Kto?

– Dobrze wiesz kto. A jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, to wyjdiesz ze mną i nigdy nie wrócisz.

– To nie jest odpowiednia chwila.

Ebony drżącą ręką wyciągnęła coś spod koronkowego stanika.

– Może ją zapytasz... – wskazała głową sufit sklepu, znad którego dobiegały przytłumione odgłosy warsztatu – ...skąd to wzięła. – Podniosła przedmiot do światła, a Frankie zauważyła, że to duża srebrna broszka z migoczącym, lśniącym złotym wzorem wyrzeźbionym na powierzchni. – Bo na pewno nie znalazła na manekinie u krawca. – Zamachnęła się, znieruchomiła na chwilę, a potem mocno rzuciła przedmiotem w Smythe'a. Uchylił się, zakrywając głowę rękami, a broszka uderzyła o zieloną aksamitną zasłonę, która wisiała w głębi sklepu, po czym z trzaskiem spadła na podłogę.

– Ebony!

Ebony wbiła w niego wzrok. Jej czarne oczy płonęły. Frankie przez chwilę myślała, że kobieta się rozplacze, ale jej oblicze znów stężało.

– Spytaj ją – rzuciła, ponownie wskazując podbródkiem sufit. Odepchnęła na bok kolejny wieszak z ubraniami, zamasyżuje otworzyła drzwi, aż dzwonek podskoczył, a potem zatrzasnęła je za sobą.

A więc to jest Ebony Diamond, pomyślała Frankie. Niesławna madame sufrażetka. Niezwykła twarz, nieco groźna, ale w końcu pomocnik Starka ostrzegał, żeby z nią nie zadzierać.

Frankie nagle przypomniała sobie o aparacie, który wciąż wisiał na jej plecach.

– Proszę zaczekać! – Sięgnęła przez ramię, odpinając pudełko. Mosiężne okucia za szybko wyslizgnęły się z futerału, tak że aparat prawie wypadł jej z rąk. Założyła sobie pasek na szyję i upuściła futerał na podłogę. – Muszę zrobić zdjęcie. – Potykając się o rozrzucone ubrania, podbiegła do drzwi.

Frankie widziała, jak Ebony Diamond pośpiesznie idzie ulicą, a jej przypominająca klepsydrę sylwetka rozplywa się we mgle.

Szarpnięciem otworzyła drzwi, wpuszczając do wnętrza podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza.

– Proszę zaczekać! – zawołała. – Jestem dziennikarką! Proszę zaczekać! Panno Diamond!

Ebony zaczęła przyspieszać, przechodząc z szybkiego marszu do truchtu, a jej suknia powiewała jak krucze skrzydła. Frankie zacisnęła zęby i pobiegła za nią, czując ucisk spodni i żałując, że tak dużo wypila w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Na skrzyżowaniu z Brook Street Ebony musiała się zatrzymać, gdy minął ją ciąg tramwajów pobrzękujących dzwonkami. Ubrana w fartuch sprzedawczyni od Fenwicka podeszła do Frankie, potrząsając butelką najnowszej wody perfumowanej Guerlain.

– Piżmo! – warknęła. – Prosto od piżmowołu! – Frankie uniknęła dłoni rozpylającej perfumy i stanęła przed Ebony Diamond.

– Panno Diamond.

Ebony dopiero po chwili zwróciła na nią czarne oczy. Miała twarz białą jak księżyc, krótki zadarty nos i szerokie szkarłatne usta.

– Śledzi mnie pani? – rzuciła.

Frankie straciła oddech, ale udało jej się wysapać:

– Chcę tylko zadać pani kilka pytań. O więzieniu Holloway. Chcemy opisać pani sylwetkę. W gazecie. Co pani na to? – Wyjęła z kieszeni swoją wizytówkę.

Panna Diamond przez chwilę sprawiała wrażenie wystraszonej. W końcu przyjęła wizytówkę i z nieobecną miną przesunęła palcem po wytłoczonym napisie. Powoli przyjrzała się literom.

– Francesca George, współpracowniczka, „London Evening Gazette”. – Jej twarz się rozpozodziła; wyglądała, jakby miała coś na końcu języka. – Dziennikarka, tak?

– Zgadza się. – Frankie zaczęła ustawiać aparat. Gdyby udało jej się skłonić Ebony do pozostania w miejscu chociaż przez kilka sekund. Prawdę mówiąc, resztę mogła zmyślić. W „London Evening Gazette” lekko traktowano fakty. A tamta sprzeczka w sklepie

to pewniak, niezależnie od tego, czy chodziło o podatki, czy o różowe pludry.

Ebony tak energicznie wyciągnęła w jej stronę dłoń z wizytówką, że aparat uderzył Frankie w twarz.

– Ma pani tupet, że mi to proponuje.

Frankie zatoczyła się do tyłu.

– Nie wiem, o co pani chodzi. Chcę tylko zadać pani kilka pytań. W sprawie przymusowego karmienia.

– Przymusowego karmienia, akurat. – Wskazała Frankie rogiem wizytówki. – To pani narysowała tamtą karykaturę dla „Puncha”, prawda? „Chyba napiję się przez nos, Maud, podaj herbatę”.

Frankie spochmurniała. Wiedziała, że tak się stanie, gdy tylko Teddy Hawkins użył słowa „sufrażetka”. Była pewna, że właśnie dlatego ją wybrali. Teraz wszyscy siedzą w Olde Cheshire Cheese, wychylając kolejne kufle portera, dzieląc się wieprzowymi skwarkami i uśmiechając kpiąco.

Frankie rzeczywiście kilka miesięcy wcześniej narysowała wspomnianą karykaturę z myślą o „Punchu”. Przez lata starała się zamieścić tam swoje rysunki, ale zawsze powtarzano jej, że są za mało satyryczne, nie licząc tego jednego. Chłopak w recepcji, który wyglądał na zbyt młodego, żeby nosić długie spodnie, zakrzuszył się ze śmiechu, zanim go jej oddał. Kiedy redakcja „Puncha” odrzuciła karykaturę, ta popłynęła w dół mętnego łańcucha pokarmowego Fleet Street, aż w końcu trafiła pod drzwi „London Evening Gazette”, szmatławca, który drukował swój tytuł cyrkową czcionką i używał hasła „Najlepsza gazeta na ziemi”. Pan Stark stwierdził, że rysunek idealnie pasuje do profilu „Evening Gazette”. Grupa kobiet stała wokół stołu zastawionego ciastami i babeczkami – narysowane przez nią sylwetki były „doskonałe”, stwierdził, „zupełnie jak w «Punchu»” – podczas gdy jedna mocowała do dzbanka z herbatą długą rurkę w rodzaju tych, jakich używa się w Holloway do przymusowego karmienia kobiet prowadzących strajk głodowy. Ebony Diamond niewłaściwie zacytowała podpis, który brzmiał: „Nie, Mildred. Myślę, że tym razem napiję się przez nos”.

W poniedziałek po wydrukowaniu rysunku pan Stark osobiście wezwał ją do swojego gabinetu, uściśnął jej dłoń – wtedy po raz jedy-ny popatrzył jej w oczy – i zaproponował prowadzenie piątkowej rubryki, którą nazywał „przewodnikiem po społeczeństwie”, wspólnie z Iskierką, podstarzałą „bywałą damą”.

– Potrzebuję tylko jednego zdjęcia. Nie musi pani nic mówić. Ale jeśli wrócę bez zdjęcia, mój redaktor rozwiesi moje flaki na sznurze z praniem.

– Proszę mi to zabrać z oczu. – Czarna sukienka Ebony zaszeleściła, gdy kobieta przepchnęła się obok Frankie. Ruch uliczny zmaleł, tworząc lukę. Frankie ruszyła w stronę Ebony, unosząc aparat do twarzy.

Nagle Ebony do niej doskoczyła. W tej samej chwili, gdy Frankie nacisnęła guzik migawki, jej szczęka odskoczyła pod wpływem prawego sierpowego Ebony Diamond. Ebony była nie tylko silna, ale także zwinna, i po chwili zdołała mocno chwycić aparat. Jednym gwałtownym ruchem wyrwała go dziewczynie i ruszyła z powrotem w stronę sprzedawczynie perfum.

– Nie jest mój. Proszę go oddać.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. – Ebony rzuciła aparat na ziemię i Frankie przez pełną przerażenia chwilę myślała, że zamierza go zdeptać.

– Nie jest mój, do diaska!

Ebony cofnęła się o krok, a następnie wyrwała sprzedawczynie buteleczkę piżma.

– Oszalała pani? – Frankie z grozą zrozumiała, co Ebony zamierza, ale mogła tylko patrzeć, jak ta uderzeniem dłoni odrywa rozpylacz od szyjki butelki i wylewa jej zawartość na aparat. Potem sięgnęła do kieszeni sukni, wyjęła zapalną, potarła nią o podeszwę buta i upuściła.

Klienci i sprzedawcy odskoczyli do tyłu, gdy błękitno-złote płomienie otoczyły skórzaną obudowę. Połyskująca farba ochronna zaczęła skwierczeć i płonąć.

Frankie aż się zatoczyła.

– Po co pani to zrobiła? Brakuje pani piątej kleпки! Całkiem pani zbzikowała. – Osmaliła sobie dłonie, usiłując stłumić płomień. Rozglądając się rozpaczliwie, zobaczyła kataryniarza z blaszanym kubkiem pełnym piwa o paskudnym kolorze. Odebrała mu go, nie zwracając uwagi na jego protesty, i szybko oblała piwem płonąący aparat.

Dym z palonej skóry z sykiem wzniósł się w powietrze. Płomień zmalował, a po chwili zniknął. Frankie ostrożnie dotknęła jednego z mosiężnych okuć i gwałtownie cofnęła palec, tak było rozpalone. Kawałki metalu na bokach aparatu stopiły się i zdeformowały. Zanim odda sprzęt, będzie musiała go zabrać do jednego z zegarmistrzów przy Gray's Inn Road.

Podniosła wzrok, rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła Ebony. Londyński tłum ponownie wypełnił chodniki. Jeśli nie połknęła jej ludzka ciżba, to rozplynęła się w gęstniejącej mgłę. Frankie przykucnęła na zimnym gruncie i przeciągle jęknęła.

To był najgorszy dzień od czasu, gdy pan Rodgers z „Tottenham Evening News” kazał jej spędzić sześć godzin przed kostnicą w Southwark, gdzie wypatrywała mężczyzny, którego zmasakrowała świnia. Frankie gorzko pożałowała, że nie wybrała się na turniej rzucania kólkami albo rozprawę rozwodową bądź nie została w łóżku, w ogóle rezygnując z pracy. Wszystko, byle nie ta zwariowana, dzika sufrażetka.

Wstała i podniosła przemoczony, przypalony aparat, z którego wydobywała się słodka woń. Po ulicy szaleńczo mknęły pojazdy, a na chodniku napierali na nią śpieszący się ludzie. Kobieta od Fenwicka wołała: „Ojej, ojej”.

Frankie z ciężkim sercem ruszyła w stronę najbliższej stacji metra. Uszła kilka kroków, gdy nagle pośród brudnej mgły zauważyła jaskrawy błysk. Coś w kolorze jasnej miedzi kołysało się w górę i w dół, zrazu łagodnie, potem coraz bardziej żywiołowo, lawirując między pojazdami i przechodniemi.

Rudowłosy chłopiec; ten sam, który wpuścił ją do sklepu. Frankie zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć. Zanurkował za stojący wóz, rozejrzał się w tył i w przód, a potem ponownie ruszył, zwinny jak kocur.

Pewnie kieszonkowiec, pomyślała. Dzięki Bogu, że nie dała mu tamtego szylinga, bo byłoby jeszcze gorzej. A potem znów donośnie jęknęła – tym razem zwracając na siebie uwagę zdjętych grozą przechodniów przy Bond Street – gdy uświadomiła sobie, że zostawiła futerał od aparatu w sklepie z gorsetami.

ROZDZIAŁ DRUGI

W tym samym czasie trzy i pół mili dalej, przy Shoe Lane, Emmeline Pankhurst, przywódczyni Społeczno-Politycznej Unii Kobiet – sufrażetek – weszła do sklepu z towarami żelaznymi. Była przyzwyczajona do woni kreozotu oraz widoku gwoździ i podkładek różnych rozmiarów w oszklonej szafce za ladą. Uważając, żeby nie zaczepić spódnicy o haczyki i drewniane bolce sterczące z półek, szła wąskim przejściem na środku sklepu, leniwie muskając palcami rząd niewielkich gumowych młotków. Zza zasłony z paciorków wyłonił się mężczyzna. Miał pięćdziesiąt kilka lat i rumianą twarz z elegancko przystrzyżoną siwą brodą, która upodabniała go do Świętego Mikołaja.

– Czym mogę pani służyć?

Pani Pankhurst efektownie podniosła wzrok, jakby wyrwana z głębokiej zadumy.

– Potrzebuję dwudziestu pięciu młotków.

Mężczyźnie nawet nie drgnęła powieka. Nauczycielka, a przynajmniej na taką wygląda. Drobny surowy nos i oczy jak z porcelany z Worcester. Do tego sukienka z grubej brązowej wełny, zapięta pod szyję pomimo słonecznego dnia. Belferka ze szkoły dla chłopców. I to nieźle wygadana.

– To zależy, do czego ich pani będzie używała. Jeśli do prac stolarskich, to wystarczy podstawowy młotek ciesielski. Normalnie zapłaciłaby pani szylinga za sztukę, ale dwadzieścia pięć sztuk mogę pani sprzedać za dwadzieścia szylingów.

Pani Pankhurst przez chwilę się zastanawiała.

– To uczciwa oferta.

Mężczyzna zaczął czegoś szukać pod ladą, a po chwili wyciągnął bardzo smukły młotek z trzonkiem pomalowanym na zielono i stalowym obuchem o wypolerowanej zaokrąglonej końcówce.

– Och, wygląda cudownie. – Wzięła młotek do ręki. – Musi się nadawać do skutecznego tłuczenia szkła.

Mężczyzna energicznie pokiwał głową.

– Będzie idealny.

– Wspaniale.

– Niestety, na zapleczu mam tylko osiemnaście sztuk. – Sprzedawca podrapał się w głowę. – Mogę sprowadzić resztę na przyszły tydzień.

– To dosyć pilna sprawa. Będziemy ich potrzebować dzisiaj w nocy. – Zawahała się. – To znaczy jutro rano. O samym świcie.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Obawiam się, że to wszystko, co mogę pani zaoferować. Kosztują szylinga i sześć pensów, ale jeśli weźmie pani osiemnaście, sprzedam je po szylingu za sztukę.

Pani Pankhurst przestała wodzić palcami po zielonym trzonku i podniosła wzrok z uśmiechem.

– Doskonale. W takim razie niektórzy po prostu będą się musieli podzielić.

– Właśnie tak, proszę pani – odrzekł sprzedawca, kiedy sięgnęła do torebki. – Właśnie tak.

Nieco dalej na północ pani Deacon z Popham Drive 72 również weszła do sklepu z towarami żelaznymi przy Cricklewood High Street.

Właściciel, korpulentny i niechlujny mężczyzna o kępkowatych wąsach, z konsternacją patrzył, jak kobieta w subtelnym stroju z ciem-

nozielonego aksamitu podchodzi do jego brudnej lady. Pewnie służąca jej się rozchorowała i musi sama załatwić sprawy dla domostwa.

Jej słowa go zaskoczyły.

– Przepraszam, chciałabym kupić młotki. Dokładnie dwadzieścia pięć sztuk.

Właściciel posłał jej zdziwione spojrzenie. Ale po chwili zrozumiał. Belferka, na pewno ze szkoły dla chłopców. Już wszystko jasne.

Zanim Frankie wróciła na Bond Street 125, pan Smythe zdążył zgasić lampy gazowe na wystawie. Teraz na klęczkach zbierał drewniane wieszaki i umieszczał swoje gorsety z powrotem na stojakach. Obok niego stała dziewczyna o lśniących czarnych włosach, w brązowej lnianej sukience i fartuchu. Otrzepywała ubrania, które jej podawał, i rozprostowywała koronki. Frankie delikatnie otworzyła drzwi. Dzwonek cicho zadźwięczał, ale obie postacie się nie obejrzały. W powietrzu nadal unosiła się woń *poudre d'amour*, którą pozostawiła za sobą Ebony.

Frankie grzecznie przeprosiła i prześlizgnęła się obok sprzątających, usiłując podsłuchać ich rozmowę. Przez sufit przebijały się hałasy dobiegające z warsztatu, więc udało jej się uchwycić tylko kilka niewyraźnych słów: coś o „koronce” i „pierzastej lamówce” na stroju, który dziewczyna przygotowywała dla Ebony, a także narzekanie, że panna Diamond nie zaczekała na przymiarkę. Kiedy Frankie skradała się do tylnej części sklepu, gdzie leżał futerał na aparat, usłyszała, jak pan Smythe szepcze:

– Ja go przymierzę, a jeśli nie będzie na nią pasował, kiedy przyjdzie go odebrać, sama będzie sobie winna.

Zaciekawiona tym planem, ponownie zerknęła na talię Smythe'a i doszła do wniosku, że gorset spina ją zapewne do rozmiaru Ebony Diamond. Kiedy o tym pomyślała, z jej krtani wydobyło się nikotynowe charczenie.

Futerał leżał w przymierzalni, wepchnięty w kąt. Wsunęła do środka wilgotny aparat, a następnie sięgnęła po pasek. Utknęła pod zieloną

zasłoną zakrywającą tylną ścianę pomieszczenia. Kiedy go pociągnęła, poczuła opór. Uznała, że o coś się zaczepił, więc odgarnęła zasłonę, szukając jej krawędzi. Odgłosy warsztatu stopniowo przybrały na sile; rozlegało się ciche pobrzękiwanie metalu i regularne stukanie drewna o drewno. Znalazła brzeg zasłony, odsunęła ją i aż podskoczyła.

Kobieta – a przynajmniej Frankie uznała, że to kobieta, chociaż niedokładnie ją widziała – początkowo nachylała się z zaciekawieniem, patrząc na pasek, ale kiedy dostrzegła Frankie, gwałtownie się podniosła; tak gwałtownie, że dziennikarka głośno westchnęła. Usmarowane czoło kobiety okrywał brudny czepek, jaki zazwyczaj noszą stare panny, a spod niego wyzierały wilgotne oczy. Resztę twarzy zakrywały fałdy brudnej kremowej tkaniny, która osłaniała nos i usta. Materiał mocno zasupłano pod brodą. Kiedy kobieta się odezwała, jej głos zabrzmiał, jakby żuła kawałki waty.

– Wynocha, własność prywatna. – Próbowała przepędzić Frankie, machając rękami.

Wtedy Frankie zrozumiała, co jest z nią nie tak. Słyszała o kobietach z pokolenia swojej matki, które na skutek pracy w fabrykach zapalek cierpiały na pofosforową martwicę szczęki, ale nigdy nikogo takiego nie widziała. To była straszliwa choroba, od której puchła szczęka i rozkładały się kości, tak że nie było innego wyjścia niż usunąć część podbródka. Miejscowi powiadali, że na końcu ulicy mieszka kobieta, która cierpi na to schorzenie. Frankie odwróciła wzrok, gdy ze wstydem zdała sobie sprawę, jak natarczywie przygląda się kobiecie.

– Proszę to zabrać. – Kobieta pchnęła w jej stronę pasek. Podnosząc futerał, Frankie wycofała się do sklepu, gdzie zderzyła się ze ściśniętą talią pana Smythe'a.

Sprzedawca miał cichy, ale lodowaty głos.

– Do tej części sklepu nie wolno wchodzić. Może tabliczka niedostatecznie dobrze o tym informuje. – Pośpiesznie poprawił zasłonę, odgradzając ich od kobiety z martwicą szczęki.

– Bardzo przepraszam – wymamrotała Frankie. – Szukałam swojego futerału na aparat.

Smythe przez chwilę się zastanawiał, zanim zszedł jej z drogi.

– Jeśli naprawdę jest pani dziennikarką – rzekł, kiedy Frankie go mijala, ocierając się o jego bawełnianą koszulę – to wystarczyło poprosić. Prasa wielokrotnie pochlebnie o nas pisała. Poza tym zamieszczamy ogłoszenia. W „The Times” i „Pall Mall Gazette”. Dla której gazety pani pisze?

– „London Evening Gazette”.

Odpowiedziało jej milczenie. Niemal usłyszała, jak pan Smythe marszczy nos. Uznała, że równie dobrze może spróbować szczęścia.

– Skoro już tutaj jestem, czy może wie pan, gdzie mogę znaleźć pannę Ebony Diamond? Gdzie najczęściej bywa wieczorami?

Zmroził ją wzrokiem.

– No tak. Mam zostawić wizytówkę? Na wszelki wypadek?

– Jeśli pani chce – odrzekł grzecznie, po czym ze zbolą miną wziął od niej wizytówkę. Kiedy otwierał jej drzwi, zdążył już starannie ukryć irytację. Tuż przed wyjściem Frankie poczuła, że ktoś uszczypnął ją w biodro. Już miała krzyknąć, kiedy zauważyła, że tuż za nią stoi młoda czarnowłosa szwaczka w brązowej sukience. Dziewczyna szerzej otworzyła ciemne oczy, a Frankie zamknęła usta.

– Spróbuj w barze Jojo w Soho – wyszeptła szwaczka. – Zazwyczaj tam chodzi, kiedy nie ma jej tutaj.

Frankie podziękowała skinieniem głowy i z ulgą usłyszała ostatnie brzęknięcie dzwonka, gdy pan Smythe gwałtownie zamknął drzwi.

Po wyjściu na ulicę zatarła dłonie i chuchnęła, duży kłąb pary buchnął w ciemniejącą mgłę. Zerknęła na zegarek kieszonkowy. Dotarcie pieszo do mieszkania Iskierki powinno jej zająć około dwudziestu minut. Czy wcześniej zdąży się wybrać do Soho? Pewnie nie. Z drugiej strony wolała zbyt wcześnie nie pojawiać się u Iskierki, gdyż mogła zostać zmuszona do zjedzenia mnóstwa dziwnych dietetycznych potraw.

Ruszając w stronę Soho, zatrzymała wzrok na drzwiach knajpy na rogu ulicy. Maid in the Moon. Znała właściciela lokalu, Tommy'e-

go Dawbera, mieszkańca Tottenhamu, z którym razem z ojcem bywali na meczach Spursów, kiedy Frankie była mała. Nieźle mu się powodziło; miał już trzy albo cztery puby w centrum miasta. Przystanęła, ponownie zerkając w stronę Soho, a następnie na drzwi lokalu. Przez zaporowane okna widziała grupki robotników, którzy zgromadzili się wokół stolików, a także podstarzałą amatorkę ginu siedzącą przy barze, z policzkami pokrytymi różem i pudrem sypiącym się w fryzury. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiewała się, plując wokoło. Pienisty porter ciekący z kraników wyglądał smakowicie. Frankie zapewne namówiłaby Tommy'ego, żeby nalał jej kufelek na koszt firmy, gdyby wspomniała o Spursach. Na plecach czuła wilgoć, która zaczęła przesiąkać przez futerał aparatu.

Jeszcze raz popatrzyła na ulicę, a potem przebiegła na drugą stronę i nie myśląc już o Ebony Diamond, otworzyła drzwi pubu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zmierzch ustąpił miejsca brązowawej nocy, gdy Frankie wychyliła gorzką resztkę portera i ruszyła w stronę wahadłowych drzwi pubu. Wyjęła stary zegarek kieszonkowy dziadka i sprawdziła godzinę. Iskierka już na nią czeka. Ogarnęło ją lenistwo. Wyrzebała z kieszeni papierosa Matinee i zapaliła go w drodze do drzwi. Ulicą przejechała dorożka, a woźnica warknął w jej stronę coś o palących kobietach. Cisnęła w ślad za nim spaloną zapałkę.

Na ulicach było już niemal pusto, nie licząc kilku mężczyzn z teczkami, którzy pośpiesznie kierowali się ku stacji metra, oraz szczególnie otulonych płaszczami kobiet na zakupach. Od początku miałam rację, stwierdziła Frankie. W listopadzie słońce nigdy nie pojawia się na długo. Daliście się oszukać, pomyślała, poprawiając ciepły tweedowy strój.

Kilka razy zaciągnęła się papierosem, po czym powędrowała w stronę Marble Arch. Uszła zaledwie kilka kroków, gdy jej uwagę zwrócił jakiś hałas.

To był stukot końskich kopyt, ale inny niż zwykle. Nie przypominał leniwego chodu szkap zaprzęganych do dorożek, ale brzmiał jak miarowy kłus dobrze ujeżdżonego wierzchowca. Skojarzył jej się z wojskowymi defiladami na Mall. Musiała się obejrzieć.

Na mglistej ulicy pojawił się samotny czterokołowy powóz – zdobiony kunsztownymi czerwonymi wzorami na czarnym tle – w rodzaju tych, które podjeżdżają do Covent Garden w dniu opery albo do Westminsteru w rocznicę koronacji. Dwa czarne konie gwałtownie się zatrzymały i zarzuciły lśnącymi łbami, ustawiając się równoległe do sklepu. Dorożkarz miał na sobie pelerynę i cylinder. Przystanął tylko na chwilę, a następnie znów ruszył i zniknął we mgle, przytrzymując łby koni za pomocą ciasnego wytku.

Frankie przysłoniła blask papierosa dłonią i obejrzała się w stronę sklepu. Na dotychczas opustoszałym chodniku pojawiły się długie czarne nogi. Światło lamp gazowych wydobyło z mroku sylwetkę dzierżącego mocną czarną laskę mężczyzny w cylindrze. Jego twarz kryła się w ciemności. Wygładził płaszcz i szybko ruszył w stronę wlotu Lancashire Court, alei, która biegła wzdłuż ściany sklepu Smythe'a. Stukanie butów nieznanego rozbijało ciszę; po kilku sekundach zniknął.

Z otchłani brudnej kieszeni Frankie ponownie wydobyła zegarek. Wiedziała, że powinna już iść. Możliwe, że on wcale nie wybiera się do Smythe'a. Być może przy tamtej uliczce znajduje się jakieś inne mieszkanie; w tej okolicy nie brakuje hoteli i muzeów.

Nagle kreska światła przecięła w połowie okno na piętrze ponad sklepem. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, gdy przesłoniło ją drgnięcie grubej zasłony.

Robiło się coraz zimniej i Frankie, chuchając w dłonie, czuła, jak gorąca wilgoć szybko zmienia się w chłodną mokrą powłokę. Właśnie się wyprostowała, żeby ruszyć w dalszą drogę, gdy pojawił się kolejny powóz.

Niczym zjawa ciągnięta przez widmowego konia zatrzymał się równie dyskretnie jak pierwszy. Wysiadł z niego mężczyzna w wyszczotkowanym cylindrze. Jego peleryna sięgała ziemi; błysk cyny ujawnił główkę laski. Gdyby mężczyzna nie zakaszłał, Frankie mogłaby uznać, że ma halucynacje. Powóz rozpląnął się we mgle, a pasażer zniknął we wlocie Lancashire Court. Po chwili rozległ się odgłos stukania cyny o szkło. Trzy uderzenia. Czyżby zamierzał

wejść przez okno? Nim zdążyła się nad tym zastanowić, do krawężnika ukradkiem podjechała spalinowa dorożka, plując niebieskim dymem. Powoli zatrzymała się przy rynsztoku, wypuszczając pasażera. Miał cylinder i laskę.

Nagle kierowca wprowadził silnik na najwyższe obroty i szybko minął Frankie, buchając jej prosto w nos oparami ropy. Zakrztusiła się dymem z papierosa i sięgnęła po chustkę, którą nosiła w górnej kieszeni. Kiedy ponownie podniosła wzrok, pojazd już zniknął. Wkrótce jednak nadjechały kolejne dwa, a po nich jeszcze jedna dorożka. Jak na ekranie taniego kina z przeskakującą zapętloną taśmą ten spektakl powtarzał się raz za razem, aż Frankie naliczyła trzynastą cylindrów, które zanurzyły się w mrocznym wlocie Lancashire Court.

**POWIEŚĆ O KOBIECIACH,
KTÓRE INNYM KOBIECIOM
WYWALCZYŁY WOLNOŚĆ**

LONDYN, 1912 ROK.

NAPIĘCIE WŚRÓD SUFRAŻYSTEK SIĘGA ZENITU.

Frankie George, z trudem wiążąca koniec z końcem chłopczyca z Fleet Street, próbuje przetrwać w brutalnej, bezlitosnej branży prasowej. Redakcja zleca jej przeprowadzenie wywiadu z akrobatką Ebony Diamond, która nie tylko skutecznie unika spotkania z początkującą dziennikarką, ale też w tajemniczych okolicznościach – na oczach setek widzów – znika podczas występu.

Frankie, podążając tropem związanej z ruchem wyzwolenia kobiet akrobatki, zostaje wciągnięta w świat brutalnych oszustw, cyrkowych dziwadeł, a przede wszystkim ostro podzielonego świata sufrażystek. Podczas poszukiwań Frankie trafia na ślad mordercy, który wciela w życie niewyobrażalny plan...

Jak zniknęła Ebony? Kogo się obawiała?
Komu przeszkadzała? Co łączy kolejne ofiary?
Co dzieje się za drzwiami tajemniczej Fabryki Klepsydr?

DZIĘKI FILMOWI SUFRAŻYSTKA – Z MERYL STREEP,
HELENĄ BONHAM CARTER I CAREY MULLIGAN
– KOBIECY NIEGDYŚ WALCZĄCE O PRAWA WYBORCZE
ZNÓW ZNALAZŁY SIĘ W CENTRUM ZAINTERESOWANIA!

www.marginesy.com.pl



9 788365 282118

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

ROOM

BOOKLIPS.PL IIII

